



Keith Jarrett to jeden z twórców rozpoznawanych niemal przez każdego melomana. Z grona muzyków, którzy wyszli ze stajni Milesa Davisa, to właśnie jemu przypadła w udziale największa sława i to jego uznaje się dziś za megagwiazdę.

Maciej Karłowski

Keith Jarrett

To niezwykle tym bardziej, że w elitarnym otoczeniu słynnego trębacza da się wskazać takie osobistości, jak Herbie Hancock, Wayne Shorter czy Chick Corea. Ale to właśnie Jarrett i wszelkie zdarzenia z nim związane stają się tematem salonowych rozmów, zaś wizja uczestnictwa w jego koncercie – przedmiotem pożądania.

A na żywo usłyszeć Jarretta niełatwo, jeżeli nie mieszka się w Japonii czy europejskich stolicach krajów śródziemnomorskich. U nas, gdzie pada śnieg, a zimy bywają srogie, szansę przypomnienia sobie, jak to jest, kiedy przy fortepianie zasiada ten pianista, mieliśmy dwukrotnie. Pierwszy raz w latach 80. na Jazz Jamboree, gdy jego słynne trio rozpoczynało muzyczną drogę. Drugi, po prawie 20 latach, znów w tym samym składzie, ale już owianym splendorem najwspanialszego i bodaj najdłużej działającego jazzowego zespołu świata.

Oba wspomniane koncerty pamiętam doskonale, zwłaszcza ten pierwszy, choć wówczas dopiero zaczynałem przygodę z jazzem. Pamiętam je nawet nie jako festiwal wyrafinowanych smaków, ale bardziej jako niespotkane wcześniej misterium, ułożone z trochę obcych dźwięków i zupełnie

magicznej ciszy, dźwięczącej w uszach tuż przed pierwszymi akordami kolejnych standardów. Nie zanoszą się, aby w tym roku było nam dane doświadczyć muzyki Jarretta na własne uszy, ale w 2008 obchodziliśmy jubileusz czterdziestu lat istnienia jego jazzowego tria i może teraz, kiedy świętowanie mamy już za sobą, warto przypomnieć koleje losu najsłynniejszego jazzowego pianisty świata.

Jarretta od dawna wyróżnia nie tylko wielki dar improwizacji, ale także ekscentryczność. Od lat krążą plotki o tym, jaka temperatura musi być na scenie i poza nią, aby mistrz zagrał, jaki samochód ma go przewieźć na lotnisko i w jakim czasie samolot powinien wznieść się w powietrze, aby gwiazda, nie uroniwszy nic z własnego blasku, mogła po koncercie odpocząć w swym paryskim zaciszu. Można jednak, po trosze na usprawiedliwienie muzyka, domyślić się, że pewnie taki sam był już dawniej.

Ponadprzeciętnie zdolne dziecko, kto wie, może nawet geniusz, sądząc po wysokim, choć nieznanym mi dokładnie IQ. Do tego niezwykle ambitni rodzice, którym faworyzowanie najstarszego i najbardziej

obietującego syna przyszło tak samo łatwo, jak ignorowanie młodszego. Specjalny tok nauczania, indywidualne lekcje, no i recitale w wieku 6 lat. Wyglądało to jak hodowanie championa. Zakończony sukcesem, jak widać z perspektywy czasu. Nie zaskakuje więc zaledwie fakt, że zatopiony w muzyce klasycznej Jarrett w młodości nie zaprzętał sobie głowy jazzem. Kiedy jednak zaczął, to na dobre i dziś można nawet zaryzykować stwierdzenie, że poświęcił mu się w całości. Porzucił – intrygujące skądinąd – zmagania z klasyką, przynajmniej w takiej formule, w jakiej możemy je przywołać z płyt „The Celestial Hawk” (z wybitnym japońskim dyrygentem Seji Ozawą, solowe z preludiami i fugami Szostakowicza) czy koncertów, które nigdy nakładem żadnej z wytwórni płytowych się nie ukazały (Christopher Hogwood i Vladimir Ashkenazy).

O ile znakomita większość jazzmanów szanuje muzykę poważną, ale sięga po nią niejako po godzinach, u Jarretta zainteresowanie nią przerodziło się w wielką pasję, a z czasem i miłość. Sam niejednokrotnie to przyznawał, nawet wówczas, gdy – zniechęcony zbyt małą kreatywnością klasycznych twórców – zaprzestał publicznych występów.

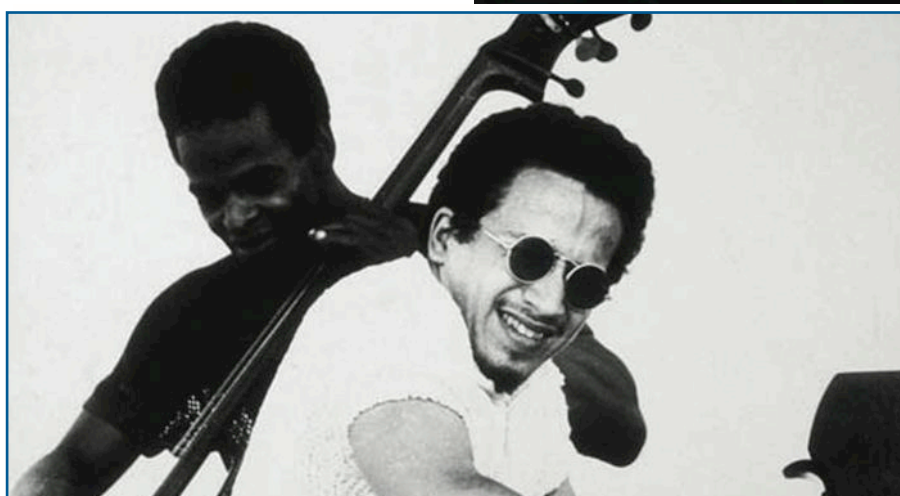
pów z tym repertuarem. Co więc sprawiło, że Jarrett zaczął traktować studia nad partyturami bardziej jako osobiste poszukiwania niż sposób artystycznego wyrazu? Pewnie nie tylko ja chciałbym go o to zapytać. Ostatecznie jednak cały należy do jazzu. Studiował przez rok w Berkley School of Music, potem przyjął zaproszenie do zespołu Stana Kentona, następnie do Jazz Messengers Arta Blakeya, a później - Charlesa Lloyda i w końcu najsłynniejszego z nich - Milesa Davisa.

Potocznie twierdzi się, że to właśnie Davis stworzył Jarretta - wspaniałego jazzowego improwizatora. Czy jednak w istocie tak właśnie było? Z pewnością, dołączając do elektrycznych jazzrockowych

co zapraszały do zespołu dwóch sztandarowych wyznawców Colemanowskiej estetyki: saksofonistę tenorowego Deweya Redmana oraz kontrabasistę Charliego Hadena? Przecież nie z powodu naturalnego ekscentryzmu.

Wielu krytyków i słuchaczy właśnie w tej amerykańskiej formacji upatrywało kontynuację idei Colemana. Wielu też dzisiaj za

i dla Manfreda Eichera (od tej chwili nikt już o ECM nie mówił jako o małej, niezależnej oficynie), ale także dla całej jazzowej publiczności - o koncercie w Kolonii. Ten, całkowicie zaimprovizowany, występ stał się czymś więcej niż tylko znakomitą nagraniami. Na całym świecie są ludzie traktujący go jak biblię jazzu, co jest tym bardziej zaskakujące, że w czysto jazzowej estetyce,



ansambli Czarnego Króla, Jarrett wszedł w najbardziej elitarny krąg jazzowej braci, stając się prawie z dnia na dzień osobą rozpoznawaną i respektowaną. Ale takimi również stawali się wszyscy namaszczeni przez Davisa, czy mieli w przyszłości zabrzmieć własnym oryginalnym głosem, czy zasilić szeregi średnio znanych, acz utalentowanych twórców. Niech jednak i tak będzie. Tyle że chyba dalsza sceniczna kariera genialnego pianisty przeczy temu, aby pomiędzy tamtym Milesem a mającym już wkrótce nastąpić Jarrettem mogły się zadziernąć mocne estetyczne więzi.

Odchodząc od Davisa, gdzie piastował nie tak przecież eksponowane miejsce, jak wcześniej Red Garland, Bill Evans, a potem Herbie Hancock, Jarrett odziedziczył niemal całkowicie od estetyki jazzu elektrycznego jako sposobu formułowania myśli. Owszem, grywał okazjonalnie na elektrycznych klawiszach, ale te pomysły wraz z rozwiązaniem jego amerykańskiego kwartetu właściwie odeszły w zapomnienie. Wystarczy sięgnąć do zebranych na dwóch obszernych wydawnictwach Impulse nagrań tamtej formacji, by stało się jasne, że bliżej Jarrettowi do estetyki Ornette'a Colemana niż rozmytego w narkotycznych elektryfikacjach Davisa. Gdyby tak nie było, to po

tamtym zespołem tęskni, uważając go za szczytowe osiągnięcie w karierze Jarretta, a zapominając trochę o kwartecie europejskim z Janem Garbarkiem, Palle Danielsonem i Jonem Christiansenem. Ten wydawał się mocniej zintegrowany jako zespół, a stylistycznie o wiele bardziej jednorodny, poukładany i przekonujący.

Jakkolwiek by nie było, Jarrett, którego podziwiamy dzisiaj, miał się dopiero pojawić. Kto wie, czy nie stało się to wraz z pierwszym solowym nagraniem, jeszcze wtedy studyjnym, zrealizowanym dla nie tak wiele wówczas znaczącej w świecie jazzu wytwórni ECM? Może właśnie „Facing You”, płyta praktycznie nieprzygotowana, powstała z paru zaledwie szkiców i niemal pod wpływem chwili rozegrana, stała się właściwym preludium niekończącej się samochwalnej pieśni, której echa brzmią do dziś? Czy można było przypuszczać, że zapoczątkuje ona cały cykl solowych nagrań, później już głównie koncertowych, które wyniosły Jarretta na muzyczny Olimp? Wydawane przez ECM koncerty z Bremy, Paryża, Monachium, Lozanny i Rzymu to albumy, do których słuchacze wracają dziś po wielokroć.

No i zapomnielibym o tym najważniejszym, pewnie nie tylko dla samego Jarretta



wyrosłej z bluesa, na bluesie się opierającej i rytmicznie rozwibrowanej nie mieści się on niemal w żadnym takcie. Prawdę powiedziawszy, niełatwo nawet rozstrzygnąć, z czym właściwie mamy do czynienia. Że z improwizacją, to oczywiście, ale czy przypadkiem nie jest tak, że Jarrett, choć wznosi się na wyżyny ekspresji, jak z rękawa sypie cudownymi tematami; zamiast wydobyć z nich wspaniałą kamień, rozkrusza je i układa w kulię, będącą w olśniewającym blasku zaledwie cieniem prawdziwego klejnotu? Czy w swej postawie nie przypomina bardziej motyla, siadającego na coraz to innym kwiecie, niż budzącego podziw budowniczego prawdziwie doniosłych dzieł?

Tak było kiedyś. Teraz sprawa Jarretta samotnie zasiadającego przy wielkim koncertowym Steinwayu, oświetlonego pojedynczym snopem światła, to już inna historia. Wystarczy sięgnąć po wydane cztery a nagrane sześć lat temu na DVD występy tokijskie, by się przekonać, że ten dzisiejszy

Jarrett to już nie paw dumnie wypinający pierś do przodu i nonszalancko rozpościerający ogon, ale skupiony, uważny mistrz, szybujący wysoko ponad współczesną muzyką, jazzem i czymkolwiek, co nam przyjdzie nam do głowy.

Wszyscy, których przed laty dręczyły wątpliwości na temat twórczej drogi Jarretta, szybko mogli zweryfikować poglądy. W 1983 roku na scenie jazzowej pojawiła

Jednak zarówno ta, jak i następne płyty wywoływały aplauz krytyki i publiczności. Nie dziwny się jednak temu, ponieważ w dziedzinie estetyki tria fortepianowego formacja Jarretta stanowiła nową jakość. Jakość zbudowaną na mocnych i trwałych fundamentach, ale też otwierającą drzwi dla nowych wrażeń i perspektyw. Nawet ci, którym pomysł rozgrywania starych tematów nie do końca się podobał, zazwyczaj

Dlatego też pewnie nikt się nie spodziewał, że przyjdzie taki czas, kiedy Jarrett – jeden z najsłynniejszych jazzmanów świata i prawdziwy mistrz ożywiania zgranych tematów – odrzuci wygodny królewski tron i zaryzykuje stylistyczną metamorfozę. Na jego najnowszych płytach nie ma już „Someday My Prince Will Come”. Nie znajdziemy dźwięków, które zaprowadzą nas na przyjazną łąkę standardowej obfitości. Dzisiaj mamy nowego Jarretta, rozpiętego w nieublaganej precyzji pomiędzy



się nowa formacja: Keith Jarrett Trio z Jackiem DeJohnettem na perkusji i Garym Peacockiem na kontrabasie. Zakłóciło to obraz, jaki powstał u odbiorców dotychczasowej twórczości pianisty – jego nagrań solowych, porzuconych koncepcji z amerykańskich kwartetów i niepodniesionych idei w kwartetach europejskich. Choć powstanie tria wydawało się naturalnym krokiem, szczególnie dla kogoś, kto już dawno poczuł się silną osobowością muzyczną, to wydaje się, że należy na nie spojrzeć również jako na działanie niemal prowokacyjne, a może i odrobinę aroganckie. Pamiętajmy, że wtedy jazzowy świat nie pogodził się jeszcze do końca ze stratą Billa Evansa. Był to legendarny wirtuoz fortepianu, którego Joachim Berendt porównywał do Vladimira Horovitz, a który zapisał się głęboko i trwale w pamięci melomanów tak za niezrównane, działające na początku lat 60. trio ze Scottem LaFarro i Paulem Motianem, jak i za ostatni, nie mniej wspałały, choć przecież inny w estetyce trzyosobowy zespół, z młodziutkim wówczas kontrabasistą Markiem Johnsonem i grającym na perkusji Joe Labarberą. Ledwie trzy lata dzieliły śmierć Evansa i wydanie pierwszego woluminu standardów Jarretta.



ulegali sposobowi, w jaki trio Keitha potrafiło je sprzedać.

Nie można już było bezkarnie rozprawić o natchnionej, lecz niepogłębionej postawie pianisty. Nie można było bez narażenia się na ostrą ripostę podtrzymywać opinii o jego narcystycznej naturze. Kontrargumentem mogła być dowolna ścieżka z długiej listy płyt tria. Wówczas okazywało się, jak niestandardowo mogą brzmieć standardy.

Monkiem a Webernem, odrzucającego utarte formuły i prowadzącego muzykę na fale oswobodzonej improwizacji, podejmującego wielkie ryzyko stylistyczne, ale w pełni świadomego, jakimi środkami wyrazu dysponuje i on, i jego zespół.

Jak sam twierdzi: ryzyko jest wpisane w ideę jazzu od początku jego istnienia. Trudno dociec powodów tej stylistycznej woltę. Pozostaje tylko pochylić czoło przed artystą, który mógł do końca życia odcinać kupony od dotychczasowych dokonań, ale objawił się jako wciąż niezwykle kreatywny twórca. Nawet jeśli była to tylko chwilowa fanaberia – bo przecież wkrótce powrócił do sprawdzonej formuły.

Na początku roku w sklepach pojawiła się kolejna płyta Jarrettowskiego tria z re-miniscencjami parkerowskimi. Wcześniej „My Foolish Heart” – dowód poszerzenia repertuaru grupy także i o kompozycje bebopowe, a nawet bardziej zamierzchłe, jak „Honeysuckle Rose” W. C. Handy’ego. Jednak to wciąż standardy – bajecznie zagrane i... niestandardowo brzmiące, ale nadal standardy. Konfrontując je z przypominanymi rok temu trzema pierwszymi wydawnictwami tria, można by nawet zaryzykować tezę, że nie tak znów wiele się zmieniło w tym fascynującym zespole i że – choć dzisiaj trzej dżentelmeni grają o całe ćwierć wieku lepiej – to wyjątkowym i uwodzicielskim pomysłem dysponowali przed laty. ■